

Poranny szczebiot ptaków wydawał się Franciszce bezbarwny. Aż podskakiwała, słysząc którąś z „bon”; podrażniona każdym ich krokiem, zachodziła w głowę, co też się tam wyprawia; a to dlatego, że przeprowadziliśmy się. Wprawdzie służba robiła nie mniejszy hałas na „szóstym” nad naszym dawnym mieszkaniem; ale Franciszka знаła tam wszystkich; była przyjaźnie nastawiona do ich krzątania. Teraz nawet w ciszę wsłuchiwała się z bolesną uwagą. A ponieważ nasza obecna okolica wydawała się tak spokojna, jak dawny bulwar był głośny, piosenka przechodzącego mężczyzny (słyszana nawet z oddali, gdy jest słaba jak orkiestrowy motyw) wyciskała łzy z oczu Franciszce na wygnaniu. Toteż chociaż z niej drwiłem, kiedy niepokieszona, że musi opuścić kamienicę, gdzie wszyscy wokół „tak nas szanowali”, pakowała swe kufry, płacząc, zgodnie ze zwyczajami panującymi w Combray, i ogłaszając, że nasz dotychczasowy dom przewyższa wszystkie inne, ja, który równie trudno przywykam do rzeczy nowych, jak łatwo porzucam dawne, teraz zbliżyłem się do naszej starej służącej, widząc, że zamieszkanie w domu, gdzie od konsjerżera, który nas jeszcze nie znał, nie otrzymała należnych dowodów szacunku, pożywki niezbędnej dla jej morale, pogrzyżyło ją w stanie bliskim uwiądnienia. Tylko ona mogła mnie zrozumieć; z pewnością nie ten jej młody lokajczyk; dla niego, niemającego w sobie nic z Combray, przeprowadzka, zamieszkanie w innej dzielnicy były jak wyjazd na wakacje, gdy nowość otaczających rzeczy odpręża nas niczym podróż; czuł się jak na wsi; a katar, „przewianie” w wagonie z niedomykającą się szybą, dał mu cudowne poczucie, że zwiedził kawał świata; przy każdym kichnięciu cieszył się, że znalazł sobie tak szykowne

miejsce, zawsze bowiem pragnął, by jego państwo często wojażowali. Toteż nie zważając na niego, zwróciłem się do Franciszki; a że śmiałem się z jej łez podczas wyprowadzki, która była mi obojętna, zareagowała na mój smutek lodowatym chłodem, gdyż go podzielała. Wraz z rzekomą „wrażliwością” nerwowców wzrasta ich egoizm; nie mogą znieść, że inni uskarżają się na dolegliwości, na które u siebie samych zwracają coraz większą uwagę. Franciszka, nieprzepuszczająca najmniejszej okazji do utyskiwania, gdy ja cierpiałem, odwracała głowę, bym nie miał satysfakcji, że moje cierpienie spotkało się ze współczuciem czy choćby zostało dostrzeżone. Postąpiła tak samo, kiedy chciałem z nią pomówić o naszym nowym domu. Zresztą po dwóch dniach zmuszona udać się po ubrania, zapomniane w niedawno opuszczonej kamienicy, podczas gdy ja, na skutek przeprowadzki, miałem jeszcze „temperaturę” i jak wąż boa po pożarciu wołu czułem bolesne wzdęcia, patrząc na długą komodę, którą mój wzrok musiał „strawić”, Franciszka, z kobiecą nielojalnością, stwierdziła po powrocie, iż myślała, że się udusi na naszym dawnym bulwarze, że idąc tam, czuła się „skołowana”, że nigdy nie widziała tak niewygodnych schodów, że nie wróciłaby tam mieszkać „za żadne skarby świata” i choćby dawano jej miliony – hipotezy mało prawdopodobne – że w s z y s t k o (to znaczy kuchnia i korytarze) jest o wiele lepiej urządzone w naszym nowym domu. Lecz czas powiedzieć, że to nowe domostwo – a przenieśliśmy się tam, gdyż moja babcia, choć staraliśmy się jej tego nie mówić, nie czuła się najlepiej i potrzebowała czystsze powietrze – było mieszkaniem w skrzydle pałacu Guermandes.

W wieku kiedy Imiona, oferując nam obraz niepoznawalnego, jakimśy w nie przelali, a równocześnie wskazując jakieś realne miejsce, każą nam utożsamiać jedno z drugim tak bardzo, że poszukujemy w danym mieście duszy, której zawierać nie może, lecz której nie mamy już mocy usunąć z jego nazwy, nie tylko miastom i rzekom nadają indywidualny charakter, jak czynią to alegoryczne obrazy, nie tylko świat fizyczny barwią rozmaicie, wypełniają cudami, ale też świat społeczny: każdy zamek, każdy dwór albo sławny pałac ma swoją damę czy wróżkę, jak lasy mają swe duchy, a wody swoje bóstwa. Czasami skryta w głębi swego imienia wróżka przekształca się w naszej zmiennej, karmiącej ją wyobraźni; tak

właśnie atmosfera, w jakiej istniała we mnie pani de Guermantes, będąc przez lata tylko odbiciem szkiełka latarni magicznej i kościelnego witraża, zaczynała wygaszać swe kolory, kiedy całkiem inne marzenia przesyciły ją pienistą wilgocią potoków.

Lecz wróżka ginie w oczach, gdy się zbliżamy do rzeczywistej osoby, której odpowiada jej imię; wówczas bowiem to imię zaczyna odbijać osobę i nie ma w niej nic z wróżki; wróżka może się odrodzić, kiedy oddalimy się od osoby; ale jeśli pozostajemy w pobliżu, wróżka definitywnie umiera, a razem z nią imię, tak jak ów ród de Lusignan, mający wygasnąć w dniu, gdy zniknęłaby wróżka Meluzyna². Wtedy Imię, w którym pod kolejnymi warstwami przemaalówek odkrylibyśmy w końcu piękny portret nigdy niepoznanej kobiety, jest już tylko opatrzoną fotografią dowodem tożsamości, pozwalającym nam stwierdzić, czy kogoś znamy, czy powinniśmy się uklonić przechodzącej osobie. Ale niech odczucie sprzed lat – jak owe instrumenty nagrywające muzykę, zachowujące brzmienie i styl rozmaitych artystów, którzy ich używali – pozwoli naszej pamięci usłyszeć imię wraz ze szczególną barwą, jaką miało wówczas dla naszego ucha, a wycujemy w tym na pozór niezmiennym imieniu dystans oddzielający od siebie marzenia, nakładane kolejno na jego identyczne zgłoski. Przez chwilę z usłyszanego na nowo świergotu, jakim rozbrzmiewało któreś minionej wiosny, możemy wydobyć, niby z tubek używanych do malowania, dokładny, zapomniany, tajemniczy i świeży odcień dni, które rzekomo dobrze pamiętamy, a przecież niczym niewprawni malarze nadaliśmy całe naszej przeszłości, rozciągniętej na tym samym płótnie, konwencjonalne i jednakie tony podległej woli pamięci. Gdy przeciwnie, każda z chwil, które się na nią złożyły, używała, by stworzyć oryginalne dzieło, niepowtarzalną harmonię, ówczesnych kolorów, których już nie znamy, a które wciąż mogą nagle mnie oczarować, kiedy za sprawą jakiegoś przypadku nazwisko de Guermantes, po tylu latach odzyskawszy na chwilę dźwięk – tak różny od dzisiejszego – jaki miało dla mnie w dniu

2 W rzeczywistości Meluzyna była założycielką rodu de Lusignan, rzekomych przodków rodziny de Guermantes (por. s. 595).

ślubu panny Percepied, odda mi jakże słodką liliową barwę, zbyt lśniąca, zbyt nową, aksamitnego fontaziu upiętego pod szyją młodej diuszesy i oczu rozslonecznionych błękitnym uśmiechem niczym świeżo zakwitły, niedosięgły barwinek. Nazwisko de Guermantes z tamtych lat jest też jak jeden z owych baloników, w których zamknięto tlen albo inny gaz: kiedy zdołam go przebić, wydobyć zeń zawartość, oddycham powietrzem Combray z tego roku, z owego dnia, zmieszany z wonią głógów, przywianą z rogu placu przez wiatr, zapowiedź deszczu, który raz płoszył słońce, a raz kładł je na czerwonym wełnianym dywanie w zakrystii, nadając mu błyszczącą, niemal różową karnację geranium i tę łagodność, nazwijmy ją wagnerowską, w nastroju wesela, jakże podniosłym podczas ceremonii. Ale nawet poza tego rodzaju rzadkimi minutami, gdy raptownie czujemy, jak pierwotna istność dygoce i odzyskuje swój kształt i cyzelunek w łonie martwych dziś sylab, jeśli w zawrotnym wirze codziennego życia, gdzie mają już tylko praktyczne zastosowanie, imiona utraciły wszelką barwę jak pryzmatyczny bąk, który się kręci zbyt szybko i wydaje się szary, w chwilach zadumy, kiedy rozmyślamy, usiłujemy zwolnić, by wrócić do przeszłości, zawiesić porywający nas odwieczny ruch, stopniowo wyłaniają się znowu, nałożone na siebie, lecz w pełni rozróżnialne odcienie, jakie ta sama nazwa przybierała kolejno w ciągu naszego istnienia.

To, w jaki kształt układało się w moich oczach nazwisko de Guermantes, kiedy moja piastunka – która zapewne nie była świadoma, tak samo jak ja dziś, na czyją cześć owo dzieło zostało skomponowane – usypiała mnie starą pieśnią: *Chwała markizie de Guermantes*, albo gdy kilka lat później stary marszałek de Guermantes, przepełniając moją bonę dumą, zatrzymywał się na Polach Elizejskich, mówiąc: „Jakie piękne dziecko!”, i wyjmował z małej bombonierki czekoladową pastylkę, tego bez wątplenia nie wiem. Tych lat wczesnego dzieciństwa nie ma już we mnie, są poza mną, jeśli mogę czegoś się o nich dowiedzieć, to tylko z opowieści innych, tak jak o tym, co miało miejsce przed naszym urodzeniem. Ale później, w trwaniu we mnie owego nazwiska, odnajduję kolejno siedem czy osiem różnych wyobrażeń; te pierwsze były najpiękniejsze: moje marzenie, z upływem czasu

zmuszone do opuszczenia pozycji nie do obrony, okopywało się trochę dalej, skąd w końcu znowu musiało się wycofać. A wraz z panią de Guermantes zmieniała się jej siedziba, o nazwie wywodzącej się również z tego nazwiska, zapładnianego z roku na rok jakimś zastyszczonym słowem, które odmieniało moje marzenia; ta siedziba odbijała je nawet w swoich kamieniach, lustrzanych jak powierzchnia chmury czy jeziora. Baszta bez grubych murów, będąca tylko smugą pomarańczowego światła, z której wyżyn suweren i jego dama decydowali o życiu i śmierci wasali – na samym krańcu owej „strony Guermantów”, gdzie tyle razy w piękne popołudnia szedłem wraz z rodzicami, śledząc nurt Vivonne – ustąpiła miejsca ziemi obfitującej w strumienie, gdzie diuszesa uczyła mnie łowić pstrągi i rozpoznawać kwiaty o fioletowych i czerwonych kiściach, zdobiących niskie murki okolicznych zagród; następnie były to dziedziczne włości, poetycka dziedzina, gdzie dumna rasa Guermantów, niby pożółkła i zwieńczona królewską lilią wieża przemierzająca wieki, wznosiła się już nad Francją, gdy niebo było jeszcze puste tam, gdzie później miały wspiąć się w górę paryska Notre Dame i Notre Dame de Chartres; kiedy nawa katedry nie osiadła jeszcze na szczycie wzgórza Laon jak Arka Potopu na szczycie góry Ararat, pełna Patriarchów i Sprawiedliwych, trwożnie wyglądających z okien, by sprawdzić, czy boży gniew się uśmierzył, pełna najrozmaitszych roślin, które rozmnożą się na ziemi, zwierząt, wymykających się nawet z wież, gdzie woły, przechadzające się ospale po dachu, mogą spoglądać z góry na równiny Szampanii; gdy podróżny, u schyłku dnia opuszczający Beauvais, nie widział jeszcze za sobą kołujących na złotym ekranie zachodu, rozpostartych, rozwidlonych i czarnych skrzydeł katedry. Owo Guermantes było jak tło romansu, urojony krajobraz, który wyobrażałem sobie z wielkim trudem i tym żarliwiej pragnąłem go poznać, ulokowany pośród realnych ziem i dróg, nabierających ni stąd, ni zowąd, o dwie mile od dworca, heraldycznych znaczeń; przypominałem sobie nazwy sąsiednich miejscowości, jakby leżały u stóp Parnasu czy Helikonu, i zdawały mi się drogocenne jako materialne warunki – w dziedzinie topografii – niezbędne do wywołania pewnego tajemniczego zjawiska. Znowu oglądałem herby, namalowane na ścianie

pod witrażami w Combray, których tarcze wypełniały się z wieku na wiek senioriami, jakie w drodze małżeństwa czy kupna ten znamienity dom ściągnął ku sobie z wszystkich zakątków Niemiec, Włoch i Francji: bezkresne ziemie Północy, potężne grody Południa, które dołączyły i złożyły się na Guermantes, by tracąc materialność, wpisać alegorycznie swoją zieloną basztę albo srebrny zamek w lazurowe pole. Słyszałem o sławnych tapiseriach w Guermantes i je widziałem, średniowieczne i błękitne, nieco surowe, odcinające się niczym obłok na amarantowym i legendarnym nazwisku, u stóp starożytnego lasu, w którym tak często polował Childebert³, i wydawało mi się, że nawet oszczędzając sobie podróży, mógłbym przeniknąć tajemnicze głębie owych ziem, ową dal stuleci, zbliżając się na chwilę w Paryżu do pani de Guermantes, niepodzielnej władczyni i pani jeziora⁴, jak gdyby jej twarz i słowa mogły mieć czar tamtejszych kniej i ruczajów oraz te same wiekowe właściwości, co stary kodeks z jej archiwów. Ale wówczas poznałem Roberta de Saint-Loup; powiedział mi, że zamek nosi nazwę Guermantes dopiero od XVII wieku, kiedy rodzina weszła w jego posiadanie. Wcześniej rezydowała w sąsiedztwie, jednak jej tytuł nie pochodzi z tych stron. Miasteczko Guermantes otrzymało swoją nazwę od zamku, ponieważ wzniesiono je później, i by nie zakłócać perspektyw zamku, nadal obowiązujący serwitut normuje tam wytyczanie ulic i wysokość domów. Jeśli chodzi o tapiserie, były dziełem Bouchera, zakupione w XIX wieku przez jednego z Guermantów, amatora sztuki, zostały umieszczone obok miernych obrazów myśliwskich, które sam namalował, w bardzo brzydkim salonie, obitym czerwoną bawełną i pluszem. Przez te rewelacje Saint-Loup wprowadził do zamku składniki obce nazwisku Guermantes, co nie pozwoliło mi dłużej wywodzić jego architektoniki wyłącznie z dźwięczności sylab. Wówczas w głębi tego nazwiska zatarł się zamek odbity w jeziorze, zaś tym, co otoczyło panią de Guermantes,

3 Childebert I (około 495–558) – syn Chlodwiga, pierwszego króla Franków.

4 W legendach arturiańskich Panią Jeziora jest Viviana, która kochała Merlina i wychowała Lancelota.

stała się dla mnie jej paryska siedziba, l'hôtel⁵ de Guermantes, klarowny jak jego nazwa, gdyż żaden materialny czy mglisty element nie zakłócał i nie mącił jego przejrzystości. Jak kościół oznacza nie tylko świątynię, lecz także zgromadzenie wiernych, tak ów l'hôtel de Guermantes obejmował wszystkie osoby dzielące życie diuszesy, ale ci bliscy, których nigdy nie widziałem, byli dla mnie tylko sławnymi i poetycznie brzmiącymi nazwiskami, a że i oni znali wyłącznie osoby będące tylko nazwiskami, pogłębiali jeszcze i chronili tajemnicę diuszesy, tworząc wokół niej rozległe halo, które się rozszerzało, stopniowo zanikając.

Na przyjęciach, jakie wydawała diuszesa, w mej wyobraźni nikt z gości nie był obdarzony ciałem, nie miał wąsów, trzewików, nie wypowiedział w ludzki i racjonalny sposób żadnego banalnego czy nawet oryginalnego słowa, i ten wir nazwisk, wnoszący mniej materii niżli uczta duchów albo bal upiorów wokół statuetki z saskiej porcelany, jaką była pani de Guermantes, nadawał jej szklanemu pałacowi przejrzystość witryny. Później, kiedy Saint-Loup opowiedział mi anegdoty na temat kapelana, ogrodników swojej kuzynki, pałac Guermantów stał się – jak niegdyś wyglądał może Luwr – czymś w rodzaju zamku, w samym środku Paryża, który na mocy pradawnego i, co dziwne, trwającego prawa wciąż otaczały dziedziczne posiadłości, a diuszesa zachowywała przywileje należne feudałom. Lecz ta ostatnia siedziba także się rozwiła, kiedy zajęliśmy, tuż obok pani de Villeparisis, jedno z mieszkań sąsiadujących z apartamentami pani de Guermantes, w skrzydle jej pałacu. Była to jedna ze starych rezydencji, jakie może istnieją jeszcze tu i ówdzie, gdzie na reprezentacyjnym dziedzińcu – może wskutek wzbierającej fali demokracji, a może była to spuścizna po dawniejszych czasach, gdy rozmaite rzemiosła skupiały się wokół pańskiego dworu – widniały często po bokach zaplecza sklepików, warsztaty, nawet kramik szewca czy krawca, jak te, które się widuje przyparte do boków katedr, o ile ich nie usunął estetyzm architektów, mieszkanie konsjerża kamasznika, który hodował kury i uprawiał kwiaty, a w głębi, w samym „pałacu”, mieszkała pani „hrabina”, kiedy zaś wyjeżdżała

5 W języku francuskim l'hôtel oznacza także miejską rezydencję arystokratyczną (przyp. tłum.).

starą dwukonną kolasą w kapeluszu przybranym kilkoma kwiatami nasturcji, uszczkniętymi być może w ogródku przy stróżówce (obok woźnicy siedział lokaj, który schodził z kozła, by złożyć zagięty bilecik w każdym arystokratycznym pałacu dzielnicy), przesyłała uśmiechy i słowa pozdrowienia dzieciom odźwiernego i przechodzącym akurat mieszczańskim lokatorom, bez różnicy, z wzgardliwą łaskawością i egalitarną dumą.

W domu, do któregośmy się wprowadzili, wielką damą z głębi dziedzińca była diuszesa, elegancka i wciąż młoda. Była to pani de Guermentes, zaś dzięki Franciszce dość szybko zdobyłem informacje na temat pałacu. Bo Guermantowie (których Franciszka określała często słowami „ci z dołu”, „pod nami”) byli przedmiotem jej niesłabnącego zainteresowania od rana, gdy czesząc mamę, nie mogła się oprzeć, by ukradkiem nie zerknąć na podwórzec i stwierdzić: „Proszę, dwie zakonnice! Pewnikiem idzie toto na dół” albo: „Och! Piękne bażanty w kuchennym oknie, nawet nie ma co pytać, skąd się wzięły, diuk był na polowaniu”, aż do wieczora, kiedy podając mi przybory nocne, z zastraszonego dźwięku fortepianu, echa jakiejś piosenki, wniosowała: „Mają gości na dole, bardzo tam wesoło”; wówczas na jej regularnym obliczu, pod siwymi teraz włosami, uśmiech młodości, ożywiony i godny, na chwilę lokował każdy z jej rysów we właściwym miejscu, zestrajał je w odpowiednim, kunsztownym porządku, jak tuż przed kontredansem.

Ale chwilą życia Guermantów, która najżywiej podniecała ciekawość Franciszki, która sprawiała jej największą radość, a także największy ból, był moment, kiedy brama wjazdowa otwierała się nagle na oścież i diuszesa wsiadała do karety. Było to zwykle zaraz po tym, jak nasi służący kończyli celebrować swego rodzaju uroczystą paschę, zwaną przez nich śniadaniem, której nikomu nie wolno przerywać i podczas której są tak „nietykalni”, że nawet mój ojciec nie pozwoliłby sobie wtedy do nich dzwonić, wiedząc zresztą, że nikt nie ruszyłby się z miejsca ani za pierwszym, ani za piątym dzwonkiem i że popełniłby nietakt nadaremnie, choć nie bez szkody dla samego siebie. Bo Franciszka (która od czasu, gdy posunęła się w latach, przybierała na każdą okazję okolicznościową maskę) niechybnie przez cały dzień ukazywałaby mu oblicze

usiane drobnymi czerwonymi cętkami, które wyrażały na zewnątrz, choć w niezbyt czytelny sposób, długą listę jej żalów i głębokie przyczyny jej niezadowolenia. Rozwijala je zresztą, ale mówiąc jakby sama do siebie, tak iż nie mogliśmy rozróżnić poszczególnych słów. To były, jak mówiła, jej „milczące msze”, które odprawiała przez cały boży dzień i które w jej mniemaniu miały być dla nas „dotkliwie” i „upokarzające”.

Dopełniwszy ostatnich obrzędów, Franciszka, która była zarazem, tak jak w pierwotnym kościele, celebrantem i jednym z wiernych, nalewała sobie ostatni kieliszek wina, odwiązywała serwetę, składała ją, wycierając z ust resztę czerwonej wody i kawy, wsuwała serwetę w krążek, dziękowała ze zboląłą miną „swemu” młodemu lokajczykowi, który wykazywał się gorliwością, mówiąc: „Jeszcze trochę winogron, proszę pani; są pyszne”, i szła od razu otworzyć okno pod pretekstem, że jest zbyt gorąco „w tej nieszczęsnej kuchni”. Przekręcając galkę i wciągając łyk powietrza, na pozór obojętnym spojrzeniem zrećźnie omiatała dziedziniec, ukradkiem się upewniała, że diuszaesa jeszcze nie jest gotowa, pięściła wzgardliwym, to znów namiętnym spojrzeniem zaprzężony powóz i poświęciwszy tę chwilę uwagi rzeczom ziemskim, wznosiła oczy ku niebu, którego czystość odgadła zawczasu, czując łagodny powiew i palące słońce; po czym spoglądała na naroże dachu, gdzie każdej wiosny wiły sobie gniazdo, tuż nad kominkiem mojego pokoju, gołębie podobne do tych, które gruchały w jej kuchni w Combray.

„Ach! Combray, Combray!”, wykrzykiwała. (A niemal śpiewny ton, jakim wypowiadała tę inwokację, podobnie jak arlejańska czystość jej rysów mogły nasuwać podejrzenie, że Franciszka pochodzi z południa Francji, zaś utracona ojczyzna, którą opłakuje, jest tylko jej ojczyzną przybraną. Mogła to być jednak pomyłka, bo chyba nie ma na świecie prowincji, która by nie miała swojego „Południa”, iluż to spotyka się wszak Sabaudczyków albo Bretończyków, przeplatających uroczo sylaby długie i krótkie, co jest przecież cechą języka oksytańskiego!) „Ach! Combray, kiedy znów cię zobaczę, moja biedna ziemi! Kiedy spędzę cały boży dzień pod twymi głogami i biednymi bzami, słuchając śpiewu zięby i naszej Vivonne, która szemrze, jakby coś szeptała, miast wysłuchiwać uprzykrzonego dzwonka naszego panicza, co to nie wytrzyma

nawet pół godziny, żeby nie kazać mi gonić przez ten piekielny korytarz. I jeszcze uważa, że nie biegnę dość szybko, trzeba by go usłyszeć, zanim jeszcze zadzwoni, a jeśli spóźnisz się choć o minutkę, ma te »swoje ataki«. Ach, biedne Combray! Może ujrzę cię znowu, dopiero gdy będę martwa, kiedy mnie wrzucą jak kamień do cementarnego dołu. Wtedy już nie poczuję twoich pięknych bieluśkich głogów. Ale myślę, że w tym śmiertelnym śnie nadal będę słyszała potępięcze dzwonki, które zatruwały mi życie”.

Przerywały jej jednak wołania kamizelkarza z podwórza, tego, który kiedyś tak bardzo spodobał się mojej babci, gdy odwiedziła panią de Villeparisis, i który cieszył się też wielką sympatią Franciszki. Podniósłszy głowę na odgłos otwieranego okna, starał się już od dobrej chwili ściągnąć uwagę sąsiadki, żeby się z nią przywitać. Na widok pana Jupiena kokieteria młodej dziewczyny, jaką była niegdyś Franciszka, rozjaśniała naburmuszoną twarz naszej starej kucharki, jej rysy zgrubiałe z powodu wieku, złych humorów oraz gorąca kuchennej blachy, i z uroczą mieszaniną taktu, poufałości i zawstydzenia posyłała krawcowi uprzejme pozdrowienie, ale bez słów, o ile bowiem naruszała zakazy mamy, rozglądając się po dziedzińcu, nie ośmieliłaby się urągać im do tego stopnia, żeby rozmawiać przez okno, co mogło się skończyć, jak mówiła Franciszka, „całym kazaniem” wygłoszonym przez panią. Wskazywała mu zaprzężony powóz, jakby chciała powiedzieć: „Ładne konie, co!”, ale mrucząc pod nosem: „Co za stara landara!”, zwłaszcza iż wiedziała, że on jej odpowie, przykładając rękę do ust, żeby być słyszonym, choć mówił półgłosem: „Wy też moglibyście mieć coś takiego, gdybyście tylko chcieli, może i więcej od nich, ale nie lubicie tego typu rzeczy”.

I Franciszka, wykonawszy gest skromny, powściągliwy i pełen zadowolenia, którego sens był mniej więcej taki: „Każdy ma to, co lubi; my tutaj cenimy sobie prostotę”, zamykała okno z obawy, by nie zjawiła się mama. Owi „wy”, którzy mogliby mieć więcej koni od Guermantów, to byliśmy my, ale Jupien miał rację, mówiąc „wy”, gdyż Franciszka z wyjątkiem pewnych czysto osobistych rozkoszy miłości własnej (na przykład kiedy bez przerwy kaszłała i cały dom żył w obawie, że

dostanie przez nią kataru, a ona z irytującym chichotem twierdziła, że nie jest zakatarzona), podobna tym roślinom, którym całkowicie z nimi zespolone zwierzę dostarcza pożywienia, polując, jedząc, trawiając i oferując je im w postaci swoich przyswajalnych szczątków, żyła z nami w symbiozie; to my, dzięki naszym zaletom, naszemu majątkowi, naszej stopie życiowej i naszej pozycji mieliśmy dostarczać drobnych satysfakcji jej miłości własnej, które – poza przyznanym prawem do nieskrępowanej celebracji śniadania, zgodnie z utartym zwyczajem, włącznie z łyżkiem powietrza w oknie po jego zakończeniu, przechadzką po ulicy, gdy robiła swoje zakupy, i wychodnym w niedzielę, kiedy odwiedzała bratanicę – składały się na poczucie zadowolenia, niezbędne jej do życia. Toteż łatwo zrozumieć, że w tym nowym domu, gdzie wszystkie zaszczytne tytuły mojego ojca nikomu nie były jeszcze znane, Franciszka usychała, w pierwszych dniach dotknięta chorobą, którą zwała nudą, nudą w tym dynamicznym znaczeniu, jakie to słowo przybiera u Corneille’a, lub pod piórem żołnierzy, odbierających sobie nieraz życie, bo nadto im się „przykrzy” za narzeczoną, za wsią. Nudę Franciszki szybko uleczył tenże Jupien, od razu dostarczając jej przyjemności równie żywej i jeszcze bardziej wyrafinowanej od tej, którą by odczuwała, gdybyśmy się zdecydowali na posiadanie powozu. „Dobrzy ludzie, ci Julienowie (Franciszka chętnie kojarzyła nowe słowa z tymi, które już poznała), poczciwi, mają to wypisane na twarzach”. Jupien w istocie w lot pojął i rozpowiadał wokół, że jeśli nie mamy powozu, to dlatego, że tego nie chcemy. Ów przyjaciel Franciszki rzadko przebywał w domu, od kiedy objął posadę urzędnika w jakimś ministerstwie. Zrazu trudniąc się szyciem kamizelek wraz ze swoją „smarkułą”, którą moja babcia wzięła za jego córkę, stracił wszelką rację wykonywania zawodu, kiedy ta mała, będąc wtedy jeszcze niemal dzieckiem, bardzo sprawnie zdołała zaszyć spódnicę podczas wizyty mojej babci u pani de Villeparisis, a potem wzięła się za krawiectwo damskie i wyspecjalizowała w spódnicach. Najpierw „wyręka” u krawcowej, użyteczna, gdy trzeba było coś sfastrygować, przyszyć falbanę, przymocować guzik, zatrzask, dopasować spódnicę w talii agrafkami, szybko została drugą, potem pierwszą, a wyrobiwszy sobie klientelę dam z lepszego świata,